



CECILY
WONG

DIAMENTOWA
GÓRA



DIAMENTOWA
GÓRA

CECILY
WONG

DIAMENTOWA
GÓRA

Przełożyła
Aleksandra Weksej

*Dla Reada, który nie pozwolił mi zrezygnować.
Dla moich rodziców, którzy zasiali ziarno
i pozwolili mi wyrosnąć.*

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Diamond Head

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno
Redakcja, korekta i skład: Studio Editio
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © Lipik1 (istockphoto.com)

Copyright © 2015 by Cecily Wong

Copyright © 2017 for Polish edition by Wydawnictwo KobiECE,
an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus
Copyright © for Polish translation by Aleksandra Weksej

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2017
ISBN 978-83-65506-56-6



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece



WYDAWNICTWO
KOBIECE

www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

NOTA OD AUTORKI

Przy pisaniu tej powieści przywiązywałam dużą wagę do tego, żeby była w jak największym stopniu oparta na faktach, ale zdarzało się, że zamiast tego, czego dowiedziałam się w trakcie swoich poszukiwań, wybierałam osobiste spotkanie z Hawajami i z ich historią. Decydowałam się na miejsca mi bliskie – okolice, w których mieszkali moi dziadkowie i dorastali moi rodzice – nawet jeśli nie istniały jeszcze wtedy na Oahu. Zdarzało się, że opowieści swoich dziadków na temat wojny, tego, co jedli i jak się ubierali, przedkładałam nad to, co wyczytałam w opracowaniach historycznych. Powieść jest podróżą na wyspę o skomplikowanej historii i próbą odkrywania jej poprzez opowieści rodzinne i źródła historyczne, które zderzają się czasem ze sobą, prowokując do własnej inwencji.

ROZDZIAŁ I

LISTOPAD 1964
HONOLULU, HAWAJE

Wewnątrz samochodu pachnie hibiskusem. To był pomysł jego matki. Coś subtelnego – poradziła mu – ale świeżego. Coś ożywczego. Mężczyzna wyjeżdża spod domu i ten jeden raz w życiu jest wdzięczny swojej matce za to, że się wtrąca. Słodki zapach już zaczął go uspokajać.

Włącza radio i natychmiast wyłącza je z powrotem, zanim w ogóle zdąży usłyszeć, co grają. Zastanawia się, co by wybrał, gdyby był nimi, po czym znowu obraca pokrętło i nastawia lokalną stację, która gra stare hawajskie mele. Brzdąkanie ukulele i ciepłe dudnienie ipu zaczynają płynąć przez samochód, gdy naciska pedał gazu i przejeżdża na żółtym świetle u wylotu swojej ulicy.

W końcu zaczyna dochodzić do siebie, a nawet rozluźnia się na tyle, żeby stukać palcem w kierownicę, prawie do rytmu. O tej porze korki już się rozładowały, co sprawia, że w nim też opada napięcie. W zawodzie, jaki wykonuje we wschodniej części Honolulu ruch uliczny jest jego największym wrogiem.

Cztery razy przejeżdża na zmieniających się światłach i dociera do ich domu w rekordowym czasie – całą minutę szybciej niż podczas ostatniej próby poprzedniego wieczoru, kiedy zwolnił przed podjazdem i spojrzął na zegarek tuż przed tym, jak wskazówka pokazała północ. Tego ranka jednak po raz pierwszy przejeżdża za kamienny mur przez otwartą bramę.

Po raz pierwszy widzi całą fasadę domu, który jest pomalowany na szaro, niski i płaski, szerszy niż to sobie wyobrażał, równie posępny jak ten dzień.

Kiedy wysiada z samochodu, uświadamia sobie, że ma ubrudzone buty. Ze swojego wynagrodzenia mógłby je sobie spokojnie wypolerować, ale wolał wydać te pieniądze na trzy białe chusteczki do nosa, kwadratowe i identyczne, które włożył na wszelki wypadek do skrytki. Pomyślał, że przecież jest kierowcą. Ludzie rzadko przyglądają się jego butom, rzadko są one w ogóle widoczne, a jeśli kobiety pogrążone w żalobie zaczną płakać, to przynajmniej będzie mógł zaoferować im porządne chusteczki. Ale teraz ma wątpliwości. Kuca i wyciera buty palcami, przeklinając pod nosem.

Budynek ma kształt podkowy z wejściem ukrytym pośrodku, w zakolu między dwoma jednakowymi skrzydłami. Boki domu wysuwają się, a wzdłuż nich ciągną się wysokie okna z pomalowanymi na biało drewnianymi żaluzjami, w których wszystkie deszczułki są teraz szczelnie zamknięte. Białe są też drzwi ze złotym dzwonkiem i złotą gałką.

Mężczyzna naciska dzwonek, ale ze środka nie dobiega żaden dźwięk. Kierowca patrzy na zegarek i stwierdza, że przyjechał prawie idealnie na czas. Powinny się go spodziewać. Czekając, odsuwa się od drzwi i rozluźnia dłonie, które jak sobie właśnie uświadomił, zacisnęły się w pięści. Nagle gałka obraca się i drzwi zaczynają się otwierać. Szczelina się poszerza, a jego oczom ukazuje się kobieta – dostojna, elegancka, dyskretnie surowa. Wygląda dokładnie tak, jak sobie ją zapamiętał, tylko trochę starszej niż na zdjęciu, jakie pokazywali w zeszłym tygodniu. Jej skóra jest cieńsza, szczególnie pod oczami, gdzie rozciąga się jak wilgotny papier ryżowy, ukazując drobne żyły.

– Dzień dobry – mówi szofer i skłania głowę, korzystając z okazji do odwrócenia wzroku, żeby dać oczom chwilę

odpoczynku, zanim znowu je podniesie. – Jestem pani kierowcą. Nazywam się Peter Choi.

Amy Leong uśmiecha się, unosząc kąciki ust i oczu, ale wygląda tak, jakby był to dla niej ogromny wysiłek, jakby sprawiał jej niemalże fizyczny ból. Kiwa głową, odwraca się i odchodzi szybkim krokiem w głąb holu.

Kiedy pojawia się znowu kilka sekund później, idzie za nią jej nastoletnia córka. *Theresa* – przypomina sobie kierowca, gdy nagle dociera do niego, co tak naprawdę widzi – uderza go coś, na co nie był przygotowany, przed czym nikt go nie ostrzegał. Córka Amy Leong jest w bardzo zaawansowanej ciąży. Dziewczyna ciężko przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą, a jej ręce kołyszą się po bokach, równoważąc każdy pracowicie stawiany krok.

Jest ładna jak jej matka. Ciemne włosy ma mocno ściągnięte do tyłu, a brzuch opina biała sukienka, która opada ponad kolana. Kierowca bez zastanowienia szuka wzrokiem obrączki, ale jej nie znajduje.

– Dzień dobry – mówi ponownie, odsuwając się od wejścia.

– Cześć – odpowiada *Theresa*. Ma nie więcej niż osiemnaście lat.

Kierowca szybkim, energicznym krokiem idzie w stronę samochodu. Już zaczęło go to przytłaczać. Chce znaleźć się z powrotem na swoim siedzeniu, ze wzrokiem skierowanym przed siebie, skupionym na drodze. Otwiera tylne drzwi i uśmiecha się słabo, kiedy kobiety wsuwają się do środka. Szuka w myślach czegoś, czegokolwiek, co mógłby powiedzieć, żeby poczuły się swobodnie. Nic nie przychodzi mu do głowy.

Przemierzają dno doliny w milczeniu, słysząc jedynie ciche brzęczenie radia. Nawet między kobietami nie pada ani jedno słowo. Jadą na południe, trzymając się blisko wschodniego wybrzeża, a wiatr znad Pacyfiku zgina gałęzie palm nad ich głowami i przepędza poranne chmury przecinające niebo.

Kiedy dojeżdżają do country clubu, mężczyzna orientuje się, że są już w połowie drogi i zaraz zacząć podjeżdżać pod Diamond Head. Ostrożnie podnosi wzrok na lustro wsteczne i zauważa, że Amy Leong siedzi odwrócona w lewo, w stronę okna, i mruży swoje ciemne oczy we wschodzącym słońcu. Podobnie jak córka, ubrała się tego dnia na biało. Jej drobną sylwetkę opina jedwabna suknia z długimi rękawami. Kierowcy przypomina się pewne zdjęcie, drukowane w prasie prawie dwadzieścia lat wcześniej. Pamięta, że zajmowało dwie pełne strony. Biała suknia. Sztuczne ognie rozświetlające niebo za jej plecami. On i Amy Leong mieszkali w tej samej okolicy – w Kaneohe, za górami, po nawietrznej stronie wyspy. Kiedy cała historia wyszła na jaw, sąsiedzi nie byli w stanie rozmawiać o niczym innym. Teściowa Amy Leong przez długi czas finansowała system edukacyjny w Kaneohe. To dzięki niej, dzięki stypendium Lin Leong, kierowca posłał swoją córkę na studia. Miał zamiar im o tym powiedzieć, podziękować, ale teraz czuje, jak jego myśli płaczą się w ciszy, jak jedyna okazja wyslizguje mu się z rąk.

Amy Leong odwraca wzrok od okna, a on szybko spogląda z powrotem na drogę.

Wjeżdżają do dzielnicy Kahala, teren się spłaszcza, znika rdza. Po bokach zaczynają wyrastać ogrodzenia z cegły, omszałych kamieni, jasnej terakoty, czekoladowej teczyny i błyszczącej akacji, strzegące domów, które znajdują się w głębi. Pojawiają się kwiaty, drobne, błękitne i mięsiste, purpurowe, które opadają długimi pnączami z drzew. Przed nimi rozciągają się podnóża Diamond Head. Kierowca skręca w lewo, sylwetka wulkanu wyznacza mu drogę, przyciąga do miejsca, którego szuka – jest to osobliwe zakrzywienie terenu wcinające się w krater, jedyna w swoim rodzaju widowiskowa anomalia na wyspie obfitującej w niespodzianki. Jeśli spojrzeć na mapę, nie da się go pomylić z niczym innym. Podstawa wulkanu

ma idealnie owalny kształt, z wyjątkiem jednego odcinka od strony południowo-zachodniej, gdzie znajduje się zagłębienie, a w nim forteca zamknięta żelazną bramą.

Na lewo fale oceanu rozbijają się o błądy piasek, bulgoczą i pienią się, a kierowca już wie, że jest za późno. Cokolwiek by teraz powiedział, wyda się to dziwne. Nie może skomentować pogody, nie może zapytać o szczegółowy plan uroczystości. Nie udało mu się zrobić wprowadzenia, powiedzieć tego, co sobie zaplanował. Są już prawie na miejscu. Walczy z pokusą, żeby zwolnić, wydłużyć ten ostatni etap podróży i wymyślić jakieś rozwiązanie, ale nie robi tego.

Wyjeżdża zza zakrętu i natychmiast ją widzi. Olbrzymia brama rozciąga się pomiędzy krawędziami krateru: sto pięćdziesiąt metrów masywnego, kutego żelaza, górującego nad stojącymi z przodu latarniami. Kierowca zwalnia w cieniu bramy.

Bohai Leong

Urodzony 23 lipca 1902 roku, zmarł 16 listopada 1964 roku.

Miał 62 lata.

*Przyszedł na świat w Guangdong w Chinach
jako syn Franka i Lin Leongów.*

*Bohai pozostawił na świecie matkę Lin Leong,
żonę Amy Leong i córkę Theresę Leong.*

Na bramie wisi zawiadomienie. Amy kończy czytać pierwszą i sięga do dzwonka, ale córka ją zatrzymuje. Theresa odruchowo wyciąga rękę i chwyta matkę za nadgarstek. Jej oczy są nadal utkwione na trzepoczącej kartce papieru.

– Sześćdziesiąt dwa – mówi szeptem do matki. – Tata miał pięćdziesiąt cztery lata, dlaczego tu jest napisane sześćdziesiąt dwa?

– Co? – pyta Amy z ręką nadal uniesioną nad dzwonkiem.

– Sześćdziesiąt dwa – powtarza Theresa i stuka palcem w zawiadomienie. – Tu jest napisane sześćdziesiąt dwa.

– Nie wiem – odpowiada Amy z westchnieniem. – Hong miała się tym zająć, to ona to napisała. Pewnie pomyślała, że tak będzie lepiej. Ludzie, a już szczególnie Leongowie, nie powinni umierać przed sześćdziesiątką. Taki chiński przesąd. Nie świadczy to dobrze o rodzinie.

– Czyli zgodziłaś się na to?

– Theresa, ja się na nic nie zgadzałam. Ja ci tylko mówię to, co wiem.

Theresa puszcza nadgarstek matki i sama naciska dzwonek. Brama otwiera się do wewnątrz, a cichy warkot silnika wydobywa z myśli dziewczyny coś, czego dotąd w nich nie było. Theresa myśli o tych wszystkich sposobach, na jakie mogłaby wygrać z matką, na jakie mogłaby ją pokonać. To byłoby takie łatwe, wystarczyłaby jedna wpadka. Brama się zatrzaśkuje, a Theresa zamyka oczy. *Przestań* – ostrzega samą siebie. *Zostaw to*.

Kobiety oddalają się od bramy i idą przez ogród, który od dziesięcioleci wygląda tak samo. Srebrne sadzawki gęsto porośnięte kwiatami lotosu, które łagodnie unoszą się na wodzie, lśniące kamienie, czerwona altana – dzisiaj przemalowana na biało ze względu na Bohaia – wszystko jest dokładnie takie, jak Amy pamięta. Zdumiewa ją to, jak pieniądze potrafią spowolnić upływ czasu, wymazać lata wzrostu, zmian i uszkodzeń, zamalować je, kiedy zaczynają przebijać. Rodzina może upaść, ale jeden przejazd kosiarki i trochę nawozu potrafią sprawić, że ogród zachowa godność, którą rodzina utraciła. Przywróci dumę, której ludzie nie są w stanie już odnaleźć.

Kobieta zastanawia się, czy ogród ją rozpoznaje, czy wie, że to ona, Amy. Walczy ze sobą, żeby nie zacząć rozmawiać z lotosami, żeby nie szepnąć do sadzawki, że nadal jest tą samą

dziewczyną, która przed tylu laty przyszła tu w nylonowych butach ze swoim ojcem. Chciałaby zapewnić rośliny, że pomimo tego, jak to teraz wygląda – a dobrze wie jak – nie jest całkiem zła. Nie tak zupełnie samolubna.

Amy przystaje. Pozwala swoim obcasom zapaść się delikatnie w trawę.

W drzwiach wielkiego domu Theresa widzi ubraną w białą bluzkę i białe spodnie Hong, która układa w koszyku lai see. Ręce kobiety poruszają się szybko jak na jej wiek i z rozmysłem porządkują nieduże koperty z pieniędzmi na szczęście obrazkami do przodu. Obok stoi drugi koszyk z górą twardych cukierków, które dostaną żałobnicy. Łakocie mają osłodzić gorycz śmierci.

Widząc Hong przy pracy, Theresa wybacza jej zafałszowanie wieku ojca. W ostrożnych ruchach jej dłoni dziewczyna dostrzega całą złożoność uczuć, całą rozpacz, jaka towarzyszy utracie osoby, której życie oglądało się od początku do końca, od trudnego poczęcia do niespodziewanej śmierci. Osoby, za którą przemierzyło się dwa kontynenty. Hong zawsze była tuż obok, spokojnie podawała herbatę i zawijała rodzinne szkielety w czerwony papier przynoszący szczęście. Już tylko ona pamięta prawdziwą matkę Bohaia.

Prawdziwą matkę. Theresie staje przed oczami zawiadomienie o śmierci. Błada, toporna twarz jej ojca i słowa wydrukowane poniżej. *Syn Franka i Lin Leongów*. Dziewczyna przetyka drugie kłamstwo, pozwala, żeby ją wypełniło, zdumiona, że w tak oszczędnych słowach jej rodzinie udało się przemycić tak wiele nieprawdy.

– Gotowa? – pyta Amy. Theresa uświadamia sobie, że jej nogi przestały się poruszać.

– Tak – odpowiada, przyciskając dłoń do podbrzusza. Zastanawia się, czy jej matka zdaje sobie z tego sprawę, czy w ogóle ją to obchodzi. To ona w dzień po śmierci Bohaia opowiedziała

Theresie o zawiłych początkach życia jej ojca, o późniejszych komplikacjach. Teraz, wspinając się po schodach wejściowych do wielkiego domu, Theresa żałuje, że nie wiedziała tego wcześniej. Theresa żałuje wielu rzeczy.

*

Theresa

Jest poranek następnego dnia, właśnie wróciliśmy ze szpitala, ale żadna z nas nie może zasnąć. Moja mama poszła na pomost. Siedzi na krawędzi, stopami dotyka wody, a w palcach trzyma zapalonego papierosa.

Na początku mnie nie zauważa. Zbliżam się od tyłu. Podnosi rękę i zaciąga się, wypuszcza dym w stronę wody. Obłoczek zlewa się z mgłą i odpływa razem z nią, zanim dochodzę do końca pomostu. Cień matki dobrze widoczny w porannym słońcu, jest długi i smukły. Wcina się w deski pomostu idealnie nieruchomo, pod kątem prostym.

Siadam koło niej, nie porusza się, ale nie każe się dalej prosić. Zaciąga się po raz ostatni i gasi końcówkę papierosa w popielniczce.

Oto co mi opowiada. Tyle wiem.

1909

GUANGDONG, CHINY

W chińskiej tradycji do nadawania imienia podchodzi się bardzo poważnie. Kiedy rodzi się dziecko, otrzymuje na początku *imię mleczne*, inaczej *małe imię*, które albo składa się z dwóch powtórzonych sylab, na przykład LingLing, albo jest przezwiskiem, jak Perełka. Rodzice noworodka w ścisłym porozumieniu z jego dziadkami spędzają kolejny miesiąc na uważnym wybieraniu imienia, które nadadzą dziecku. Nie jest to łatwy

proces. W chińskiej praktyce nazywania istnieje wiele zasad i zwyczajów – dziesiątki szczęśliwych imion do rozważenia i jeszcze więcej złowróżbnych, których należy unikać. Nadanie dziecku imienia po jakiegokolwiek znanej osobie uważa się za niestosowne, a po starszym członku rodziny czy nawet dalekim krewnym za wysoce obraźliwe. Jeśli nowo narodzone dziecko ma starsze rodzeństwo, rodzice muszą wziąć pod uwagę imiona, które już nadali, i nazwać dziecko tak, aby stworzyć równowagę albo w jakiś sposób powiązać członków nowego pokolenia między sobą.

Mój ojciec był najstarszym dzieckiem w rodzinie i został nazwany Bohai, czyli *starszy brat morza*. Był pierwszym synem, ale wszyscy mieli nadzieję, że nie ostatnim. Jego imię było wyrazem pragnienia, błaganiem o kolejnych synów. On sam już od dnia narodzin nie wystarczał mojej NaiNai i mojemu Ye Ye, którzy marzyli o kolejnych potomkach.

Przez całe życie mówiłam na niego Maku. Kiedy byłam mała, dowiedziałam się, jak jest po hawajsku ojciec: *makuakane*. To słowo było dla mnie za długie, więc wymawiałam je, jak potrafiłam, i już tak zostało. *Maku* nic nie znaczy, co jest szczytem bluźnierstwa przeciw chińskiej tradycji, ale po kilku dekadach spędzonych z dala od Chin takie sprawy, podobnie jak wiele innych, zaczynają się rozmywać.

Maku urodził się w 1909 roku w prowincji Guangdong jako dziecko pierwszej konkubiny swojego ojca. Zaskoczyło mnie słowo *konkubina*, które padło z ust mojej matki, ale zapewniła mnie, że było to powszechne wśród takich ludzi jak mój Ye Ye. A przynajmniej tak powiedział jej Maku. Mój Ye Ye wziął sobie konkubinę po tym, jak moja NaiNai straciła drugie dziecko – drugą dziewczynkę – i orzeczono, że jest niezdolna do rodzenia dzieci, a już szczególnie synów. Podobno tamtego dnia pomieszały jej się zmysły: kiedy zabierano martwego noworodka z dusznego pokoju,

błagała akuszerkę, żeby sprawdziła *jeszcze raz, proszę, jeszcze raz*. Szarpała się za włosy, które wychodziły jej z głowy całymi garściami wiotkich pasm, bardziej zawiedziona płcią dziecka niż brakiem życia. Moja NaiNai zarzekała się, że to będzie chłopiec, przysięgała, że wyczuła jego płęć w chwili poczęcia.

Przy chłopcu brzuch jest twardy. Dziecko układa się nisko. Domaga się soli.

Przez ostatnie pięć miesięcy ciąży NaiNai odpoczywała w łóżku jak dobra chińska żona, pielęgnowała nasienie, które miała w sobie, nakłaniała płód do tego, żeby okazał się mocny i męski, modliła się bez końca o chłopca. Nazwała go Fai, oczywiście w tajemnicy, przekonując samą siebie, że dziecko, które ma już imię, nie może zostać zabrane ze świata i nie może okazać się dziewczynką. Ale w drugim dniu porodu z jej brzucha wyłoniła się powoli dziewczynka i właśnie wtedy, w przyływie desperacji, NaiNai wpadła na pomysł, żeby znaleźć mężowi konkubinę.

Miała na imię Hailee. Była przeciętną czternastolatką o celowo pospolitej twarzy, sprzedaną mojej NaiNai za mniej niż kosztował ją niedzielny obiad. Zachowało się jedno zdjęcie Hailee z moim ojcem – on ma na nim zaledwie miesiąc, ona jest ledwie nastolatką – schowane głęboko w pudle w szafie Maku. Znalazłam je dwa lata temu, kiedy byłam w liceum i szukałam swojego świadectwa urodzenia w równo poukładanych, pożółkłych stosach pamiętek. Nie wiedziałam wtedy, kim jest ta dziewczyna, nie byłam świadoma, że to dziecko to mój ojciec. Pamiętam tylko, jak pomyślałam sobie, że dziewczyna ma bardzo smutną twarz – kwadratową, o drobnych rysach, szarych oczach, które zdawały się zapadać pod powiekami, i delikatnie ospowatej cerze. Zabrałam zdjęcie z szafy i obejrzałam je dokładnie w świetle lampy. Dziewczyna była za młoda jak na tak postarzałą cerę.

Maku przyszedł na świat bez komplikacji. Hailee poprosiła, żeby na czas porodu przyjechała jej matka, bo było to jej pierwsze dziecko. Ye Ye zaoferował nawet pokrycie kosztów podróży, ale matka Hailee odmówiła przyjazdu i napisała dziewczynie, że nie należy już ona do rodziny, i przestrzegła ją tylko, że ma być cicho podczas porodu, bo w przeciwnym wypadku na noworodka spadnie chmara złych duchów. Moja NaiNai zajęła miejsce jej matki i stała za Hailee, kiedy dziewczyna rodziła mojego ojca, pierwszego syna Leongów.

Hailee rodziła Maku w kucki w jednym z tylnych pomieszczeń domu w towarzystwie akuszerki i lekarza. Posłuszna radom matki, podczas porodu nie wydała z siebie ani jednego dźwięku, ale na koniec zemdląła, poleciała do tyłu i uderzyła mocno o drewnianą podłogę. Lekarz podniósł Maku, kawałkiem białego materiału wytarł mu twarz z ciepłej krwi i podał mojej NaiNai jej syna. Chłopiec urodził się zdrowy, a przed odcięciem pępowiny na szyi zawieszono mu złoty łańcuszek, żeby jego życie związało się z wisiorkiem, a nie z pępowiną.

Miesiąc, który nastąpił po narodzinach Maku, był wypełniony cichym oczekiwaniem. Trzydzieści dni odpoczynku, trzydzieści dni modlitwy, trzydzieści dni ochronnych ubrań i ziołowych naparów. Dom zdawał się kruchy, tak jakby zbyt dużo ruchu mogło strzaskać obramowane złotem szyby w oknach, jakby jeden przyciężki krok mógł pokruszyć marmurowe posadzki. Mój Ye Ye, który przez większą część roku był nieobecny, bo wyjeżdżał w interesach, został przez cały miesiąc w domu i kurzył cygara w swojej bibliotece. Hailee trzymano samą w pokoju – w tym samym, w którym urodziła Maku – i karmiono ją nóżkami wieprzowymi i gotowanymi jajkami, żeby odbudować jej siły i sprawić, by miała pokarm dla dziecka. Każdej nocy płakała, spod kołdry koloru trawy dobywało się jej urywane, tłumione

łkanie. Spała bez końca, zaniedbana, z niemytymi włosami spiętrzonymi na czubku głowy, przez wiele dni nie dotykając stopami drewnianej podłogi pokoju. Codziennie przychodził lekarz, żeby sprawdzić stan matki i dziecka. Kiedy okres trzydziestu dni dobiegł końca, Maku nabrał sił – jego skóra zmieniła barwę z różowej na mlecznobiałą – a u Hailee rozwinęła się gorączka.

Obchody ukończenia pierwszego miesiąca były podobno wspaniałe. O wschodzie słońca na znak, że minął okres oczekiwania, nad ogrodem uniosły się czerwone i złote balony. Prywatny jubiler mojego Ye Ye przyszedł do domu i przystroił Maku w złote bransolety, wystarczająco ciężkie, żeby zakotwiczyć go na ziemi. Na uroczystości zjechali się goście z sześciu prowincji, niektórzy nawet z dalekiego Chengdu, a każdy z nich przywiózł grubą czerwoną kopertę z pieniędzmi na szczęście dla nowo narodzonego dziecka. Sala bankietowa w domu moich dziadków przez lata czekała na tak wielką okazję – zmieściło się siedemdziesięciu gości i zostało jeszcze miejsce dla trzydziestu krzątających się służących, którzy po każdym daniu zbierali puste talerze. Podano stułetnie jaja dla uczczenia płodności, kalmary z solą i pieprzem złowione tego samego dnia rano, kaczkę na zimno z sosem hoisin barwy mahoni i *yi qi tong* – zupę z płetwy rekina, ulubioną potrawę mojego Ye Ye i oznakę rozpusty w oczach reszty zebranych.

Podczas bankietu mój Ye Ye zajmował się głównie mieszaniem porcelanową łyżką swojej zupy z płetwy rekina i podziwiał delikatną chrząstkę, która pływała w pachnącym grzybami bulionie. Ye Ye był człowiekiem, który czerpał wiele przyjemności z luksusu. Tak mawiał Maku. Był milionerem, który zaczynał od zera i tylko dzięki sobie samemu w wieku dwudziestu ośmiu lat po raz pierwszy spróbował zupy z płetwy rekina.

Maku i Hailee przespali uroczystości schowani każde w swoim kącie domu, a ożywione przyjęcie było dla nich za ledwie odległym szmerem. Maku miał już wtedy niańkę, opiekę nad nim powierzono Hong. Hailee była potrzebna tylko do karmienia, a i wtedy nie musiała opuszczać swojego pokoju. Kiedy upłynął miesiąc, mogła wreszcie wykąpać się, uczesać włosy i umyć zęby. Ale nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Dalej spała w ciepłe swojej zielonej kołdry, tak jakby ten miesiąc jeszcze się nie skończył.

Gorączka Hailee utrzymywała się przez sześć dni po obchodach ukończenia miesiąca przez Maku. Do domu przychodził codziennie lekarz z coraz mocniejszymi lekami i coraz bardziej egzotycznymi ziołami, które miały ukoić jej rozgorączkowane ciało. Każdego ranka Hailee miała przepoczone prześcieradła, budziła się w wilgotnej, powykręcanej stercie pościeli. Na początku wołała swoją matkę, błagając, żeby wybawiła ją od jej własnego ciała, od rozgrzanych, obolałych członków i od żółci, która wydobywała się z jej żołądka prawie co godzinę. Potem wołała Maku – swojego syna – żeby przyniósł jej ukojenie w czasie, gdy będzie przechodziła na tamten świat, bo Hailee była pewna, że niedługo to nastąpi. Miała bardzo wyraziste sny, osłabienie przenosiło jej umysł w dalekie miejsca. Śniły jej się rozległe łąki, ciepło jej ciała ogrzewało wszystkie wizje i rozświetlało je intensywną barwą fuksji. Śniły jej się żaby, tysiące żab, które skakały w wysokiej trawie, rozciągając swoje długie nogi. Żaby przynosiły ukojenie, przeszywały jej ciało chłodem, kiedy wskakiwały po dziesięć na raz do zimnej wody. Czasami żaby krzyczały – wszystkie jednocześnie – ogłuszając ją kaskadą niskich bulgotów i wysokich skrzeków. Niebo nabierało barwy jaskrawego szkarłatu, jej ciało stawało się rozpalone, a żaby zaczynały się mnożyć. Próbowwała łapać je po jednej

spoconymi dłońmi, ale zawsze jej się wyslizgiwały, drażniąc ją swoimi tłustymi ciałami i śliskimi powłokami. Goniła je, a jej obolałe kończyny stawały się teraz masywne i mocne, migotały w rozjarzonej trawie, podczas gdy ona biegła coraz szybciej i szybciej. W czasie takich nocy Hailee biegła, aż zaczynały boleć ją uda, po skroniach spływały krople chorobliwego potu, a pościel była przemoczona aż do materaca.

Maku nie wolno było zobaczyć się z biologiczną matką, mimo że często prosiła o odwiedziny syna. Jej pokój był wilgotny i zatęchły, a odór śmierci wisiał ciężko w powietrzu. Lekarz mówił, że nawet jeśli Hailee nie zaraziłaby Maku, to na pewno by go wystraszyła swoim bezsensownym mamrotaniem i gwałtownymi wybuchami. Hailee umarła więc w samotności. Jedenastego dnia po uroczystościach w domu mojego Ye Ye nikomu nie przeszkadzały już krzyki towarzyszące wyrazistym snom Hailee albo jej przebudzeniu w kałuży lodowatego potu. Lekarz znalazł ją rozciągniętą na podłodze u stóp łóżka – twarz miała przyciśniętą do gładkich desek podłogi, a ramiona wyciągnięte do przodu tak, jakby chciała coś złapać.